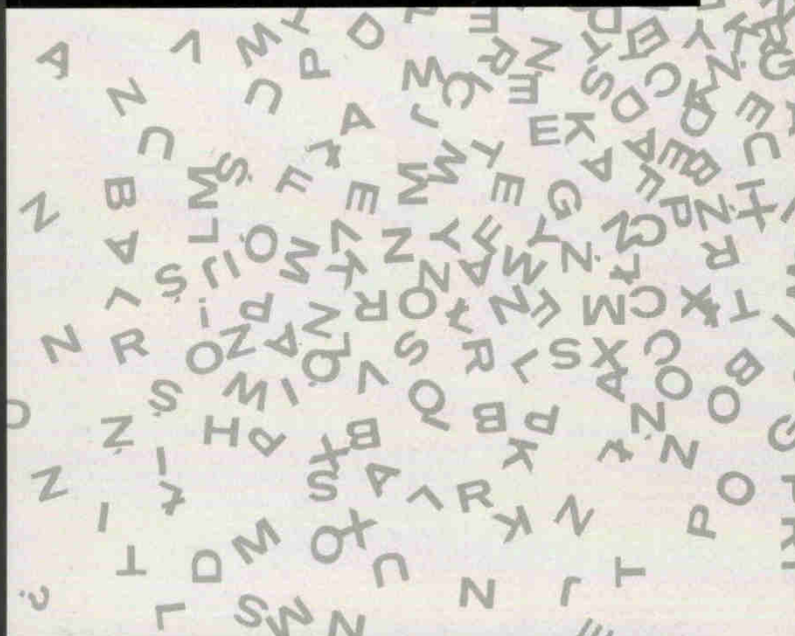


FRAZA

POEZJA PROZA ESEJ

nr 3 (105) 2019



PORTRETY: Florian ŚMIEJA (1925–2019); Andrzej BUSZA
Nostalgie i rewizje: BAŁDA, Benn, BIELEŃ, Biłski, BOLEC, Czaykowski,
JABŁOŃSKA, Kołodziej, KUCZYŃSKA-KOSCHANY, Mackay Brown, MIELHORSKI,
O'Brien, PADGETT, Przywara, RÓŻYCKI, Sabo, SKAŁBANIA, Utkowski, ZYMAN,
Żybartowicz, ŻYSZKIEWICZ. Waniek i Chomiszczak o BEKSIŃSKIM, Hołody
o poezji wizualnej Aleca FINLAYA, Dybisz o powieści KOŚCIAŁKOWSKIEJ,
LIZAKOWSKI o literaturze polskiej na emigracji, ZIELIŃSKI o malarstwie
Joanny STASIAK. Wiersze Laureatów VI OKP „Erotyk na krechę”

Tomasz Chomiszczak

„Ty jesteś odbiorcą , a ja twórcą ”

Beksińskiego zmagania z Dmochowskim

Od czasu wydania książki *Beksińscy, portret podwójny* Magdaleny Grzebałkowskiej mamy permanentną kumulację wydarzeń poświęconych pochodzącemu z Sanoka artyście i jego rodzinie. Filmy fabularne, dokumenty, biografie, wywiady, fotografie, koncerty, albumy z malarstwem i rysunkami Zdzisława, fragmenty jego dziennika, wybory korespondencji i nieznanych opowiadań, audycje radiowe poświęcone pasjom muzycznym artysty, wystawy i wydarzenia edukacyjne w całej Polsce – wszystko to wydaje się nie mieć końca. Takiego „wzięcia” u masowego odbiorcy nie miał sanocki twórca chyba nawet za swego życia. Nie powinno zatem dziwić, że na rynku medialno-wydawniczym usiłuje podkreślić swoją mocną pozycję także Piotr Dmochowski – adwokat i wykładowca akademicki, kolekcjoner dzieł sztuki uważany powszechnie za paryskiego marszanda słynnego malarza. Właściwie usiłował ją podkreślać jeszcze za życia Beksińskich, publikując w 1996 roku własnym nakładem monumentalną książkę *Zmagania o Beksińskiego*. Teraz, dwie dekady później, postarał się o jej wznowienie, zaopatrzone jedynie w małe postscriptum. Czy ponowne wejście do księgarń z tym samym tytułem ma sens? Czy po latach wnosi on coś istotnego do współczesnej wiedzy o Beksińskim jako twórcy, ale i człowieku? Otóż, niestety, w tym przypadku mogą ogarnąć czytelnika – a tym bardziej żarliwego odbiorcę sztuki – uzasadnione wątpliwości. Przede wszystkim w tak obszernym tomie (ponad 600 stron zapisków!) niewiele jest, wbrew tytułowej zapowiedzi, samego artysty. Można byłoby nawet zabawić się w obliczenie proporcjonalnej „ilości Beksińskiego w Beksińskim”, ale trud to zbędny – wystarczy spojrzeć na tytuł oryginalny (książka wyszła najpierw nad Sekwaną, po francusku), by domyślić się pierwotnej intencji autora: chodzi tu raczej o autoportret Dmochowskiego niż o rzetelny obraz słynnego malarza. Przede wszystkim – jakże ów tytuł jest pretensjonalnie sformułowany! *Notes sur la situation générale. Historique d'un échec* to tyle co „Notatki o sytuacji ogólnej. Historia porażki”, przy czym podtytuł można byłoby przetłumaczyć też jako „chronologiczny opis klęski”... Pompatyczne. Heroiczne. I tragicomiczne zarazem. Tyleż nie mówi to nic o zawartości książki, co ujawnia zapędy jej autora, który – wzorem wielkich

klasyków – chciałby opisać świat w jego pełni, lecz przede wszystkim eksponuje siebie samego. Zmiana tytułu na rynku polskim jest tylko pozorem: to nadal ta sama książka, nadal Dmochowskiego „pomnik wzniesiony sobie”. Cień autora, jak cień wielkiej góry, przysłania inne opisywane tu postaci. Dmochowski sam staje się tematem swojej książki, przeprowadzając autoanalizę o aspiracjach psychologicznych, ale i tego mu mało: ustawia siebie w podwójnej roli uczestnika i obserwatora życia społeczno-politycznego Francji (a trochę też Polski). Oczywiście, ma do tego pełne prawo – wszak to jego własna książka, na którą w dodatku wyłożył prywatne pieniądze; czemu jednak sugeruje, że będzie snuł opowieść o Beksińskim? Wątek pochodzącego z Sanoka artysty jest tu jednym z wielu, wcale nie najobszerniejszym, i czytelnik przeżyje spore rozczarowanie, gdy nastawi się na to, co obiecuje polska wersja okładki. Rozczarowanie, ale też znużenie, a czasami wręcz irytacja mogą towarzyszyć lekturze z wielu zresztą powodów. Nieznośna jest choćby maniera stylistyczna autora. W tekst polski regularnie wplata on francuskie kalki językowe i słowa, dla których można byłoby z powodzeniem znaleźć prostsze odpowiedniki. Stąd wysyp takich określeń, jak „nie kontentuje go”, „proszę przyjąć moje najlepsze uczucia”, „z tym wszystkim, czego się nacierpieli”, „zainstalować się na Zachodzie”, „mój pierwszy patron”, „spektatorzy” czy wreszcie „tentujące kosztorysy”. Bywa, że Dmochowski sili się na zdania pseudoaforystyczne, tworzy quasi-sentencje; wszak retoryka w jego prawniczym zawodzie to podstawa. I mamy oto takie prawdy objawione: „Ludzkie dzieło nie będzie autentyczne, dopóki nie skąpie się we łzach swego twórcy” albo: „Nie stworzy dzieła prawdziwego ten, kto nie mówi prawdy” (z filozoficzną puentą: „prawda jest tragiczna”). Ale zarazem tego typu pretensjonalne stwierdzenia przeplata autor z potocyzmami, a nawet z wyrażeniami wulgarnymi, co daje w rezultacie ogromne pomieszanie stylów – za duże jak na jedną książkę; wszak przecież chyba nie stworzenie artystycznego wielogłosu mu się marzyło?

Razi tu też nieznośne, protekcyjne zwracanie się do czytelnika per „Przyjacielu” (choć bywa, że poniesiony emocją autor przechodzi na zbiorowe „Wy”). Zaskakuje tłumaczenie na polski niektórych francuskich nazw własnych: ulic, restauracji, tytułów czasopism, ba – nawet domów wydawniczych (szacowne szwajcarskie wydawnictwo L'Âge d'Homme jest tu po prostu „Wiekem Człowieka”...). Albo znowu obce nazwy własne są nieodmienne, wbrew polskim regułom: stąd na przykład „ulica Taine” czy „twarz Georges Pompidou”. Dlaczego? Cóż, pytanie „dlaczego?” można byłoby mnożyć z powodu wielu arbitralnych decyzji, może nawet nie tylko autora, lecz także redakcji – gdyby takowa występowała, bo w metryczce książki na próżno szukać i redaktorów, i korekty. Przy braku tej ostatniej nie dziwią polskie literówki czy braki akcentów w niektórych francuskich słowach (w zamian natrafimy na przykład na polski znak w obcym nazwisku, z czego powstaje zabawny „Mac Mahoń”); zrozumiałe stają się też grubsze pomyłki (komuś „podwinęła się” noga, a „nastolatki bywali”). Cóż, jeszcze raz potwierdza się

przypuszczenie, że Piotr Dmochowski chciał być w tym przedsięwzięciu sam sobie sterem, żeglarzem, okrętem, co może też poniekąd tłumaczyć szereg zaskakujących braków w jego publikacji.

Jakich? Na przykład brak indeksu osobowego, który byłby bardzo pomocny w gąszczu nazwisk. Brak datowania w podpisach pod zdjęciami, ułożonymi przecież niechronologicznie. Brak konsekwencji w stosowaniu nazewnictwa: oto na przykład raz używa autor francuskiego akronimu „CNAP”, a innym razem pisze o „Narodowym Centrum Sztuk Plastycznych”, nie podsuwając niezorientowanemu czytelnikowi żadnego skojarzenia, iż chodzi o tę samą organizację. Tu zresztą pojawia się bardziej strategiczny zarzut braku przypisów; przypisów rzeczowych, objaśniających polskiemu odbiorcy na przykład pewne idiomy kulturowe Francji. Chociaż nie, owszem: przypisy się zdarzają, ale wedle chaotycznej reguły przypadku znanej tylko samemu autorowi i wydawcy. Zwykle są to polemiczne dopowiedzenia czy dygresje własnych wywodów, a czasem – o dziwo – wyjaśnienia rzeczy oczywistych dla czytelnika polskiego (hasło „Westerplatte”) bądź francuskiego (pojęcie „ancien régime”). No dobrze, ale co z tym Beksińskim? Co z samą postacią artysty, co z członkami jego rodziny? Owszem, są, czy raczej bywają, bo pojawiają się i znikają na kartach książki. Ale kiedy już nawet są, miewają się ci Beksińscy... nie najlepiej – w mniemaniu Dmochowskiego. Jeśli więc w końcu odnajdziemy ich w którymś fragmencie, okażą się przede wszystkim mentalnymi prowincjuszami i skąpcami; przecież, pisze autor, „mogliby sobie pozwolić na najlepsze restauracje w Warszawie” i na opiekę nad matką, ale „się oszczędzi”; ot, typowy przykład „skąpstwa małych prowincjonalnych mieszkańców głębokiej Rzeszowszczyzny”, którzy wyssali podobne zachowania z mlekiem ich matek. No i w ogóle ta „opinia publiczna w zaściankowej Polsce”... Dmochowski nie dopuszcza do siebie myśli, że może chodzić o zwykły, ludzki odruch miłości, współczucia czy odpowiedzialności za najbliższych. I, sam chętnie nadużywający górnolotnych pojęć, te akurat wartości wyraźnie ignoruje, malując Beksińskich jako typowych małomieszczańskich dusigroszy. Ustawicznie męczy go pytanie – i zadaje je „na głos”: „Co Beks robi z forszą?”. Bo przecież „nie pije, nie bywa wśród ludzi, nie gra, niczego prócz płyt gramofonowych nie kolekcjonuje, a w jego mieszkaniu nie ma nawet najskromniejszej dekoracji czy ozdobnego przedmiotu”. Po czym pada autorska diagnoza: „ten człowiek jest chorobliwie oszczędny”. To akurat zresztą jedno z łagodniejszych określeń, bo pojawią się tu też i „lichwiarz”, i „centuś”, a gdy trzeba, Dmochowski bez oporów sięgnie po inwektywy („Beks prawdziwa świnia”). Jeśli szukamy w tej książce jakiegokolwiek próby uchwycenia profilu artysty, wystarczy właściwie ograniczyć się do kilkudziesięciostronicowego fragmentu zatytułowanego *Portret Beka 2*. Tu Dmochowski metodycznie rozbiera Beksińskiego na czynniki pierwsze, poddając go niemalże socjologicznopsychologicznej wiwisekcji i oglądając pod światło każdy detal, każdy aspekt życia oraz twórczości swego mistrza. A wśród tychże, między

innymi: „prawdziwe” inspiracje malarza, niewdzięczność artysty wobec odbiorców jego sztuki, egotyzm / egocentryzm / egoizm (niepotrzebne skreślić), usposobienie samotnika, styl wypowiedzania się, ulubione potrawy, wygląd zewnętrzny (!), relacje wewnątrzrodzinne oraz życie seksualne (!!!), kłopoty jelitowo-żołądkowe, młodość Zdzisława i biorące się z niej wszelkie fobie / neurozy / manie (też do wyboru, do koloru), nieznamość języków obcych, popadanie w sprzeczności, stosunek do historii malarstwa i innych dziedzin sztuki oraz do komunistycznego ustroju / śmierci / Boga (do trzech razy sztuka). Uff... Imponująca wyliczanka, na końcu której Dmochowski stawia kolejną diagnozę: „W Beksie są dwie postaci”. Oto i główny wniosek wypływający z „zastosowania elementów psychoanalizy”... Zapewne sam artysta nie potrafiłby dokładniej siebie przeświecić i wnikliwiej opisać. Pamiętna jest w filmie *Ostatnia rodzina* Jana Matuszyńskiego scena, w której Zofia Beksińska, wzburzona po lekturze książki Dmochowskiego, rzuca tym grubym tomem w męża. Nic dziwnego: obnażanie Zdzisława – człowieka i twórcy – jest tu miejscami wyjątkowo bolesne, również dlatego, że tak jednostronne i niedopuszczające do głosu najbardziej zainteresowanego. Dmochowski „rzeźbi” w postaci Beksińskiego wedle uznania i bez umiaru. Stwarza pozory rzetelnego dyskursu, posługując się metodą licznych klasyfikacji i typologii, rozbijając wywód na punkty, podpunkty i jeszcze niższego rzędu enumeracje – ale to wygląda raczej śmiesznie niż poważnie. Co właściwie chce on osiągnąć tym detalicznym spisem inwentarza? I komu to służy? Otóż wygląda na to, że najbardziej miało służyć samemu autorowi książki. Niby zarzeka się on, że sporządza zapiski „dla potomnych”, rodzaj „kroniki” czy innego „dokumentu”, ale zarazem przyznaje tu i ówdzie, iż swoje notowanie traktuje jak „terapię” – rodzaj „wyskarżenia się na papierze” oraz „wyzwolenia od lęku nie do zniesienia”. Ba, przybiera wręcz postawę męczennika: „Nie chce mi się pisać. Jeśli kontynuuję niniejsze notatki, to pod przymusem”. On, Piotr Dmochowski, niestrudzenie walczący o popularność artystyczną i rynkową niewdzięcznego mistrza swego, mierzy się zatem z własnymi słabościami, a każda z nich potężniejsza: niechęć, lenistwo, zmęczenie. Tylko... po co cały ten trud i zgiełk? Czy pod płaszczykiem służenia twórcy nie widać aby prostszej motywacji – szansy na wykreowanie samego siebie? Usankcjonowania swojej roli impresaria mistrza, „drugiego po Bogu”, a tym samym – okazji do wylansowania swego nazwiska odbijającego blask Beksińskiego? Niestety, autorowi ta próba niezbyt się udała; książka przez objętościowe i stylistyczne rozdęcie staje się w pewnym momencie po prostu nudna, a w najlepszym przypadku – bywa miejscami tylko zabawna. Dlatego nie sposób traktować poważnie to pisanie aspirujące do rangi dzieła życia. Czy podobne wnioski po lekturze wyciągnął Zdzisław? Wszak nie zareagował na książkę z taką furią jak Zofia; właściwie przyjął ją względnie spokojnie. Owszem, jednak nie zmienia to faktu, że artysta miał własne, nie najlepsze zdanie o publikacji i potrafił doskonale wypunktować jej słabe punkty – zwłaszcza w tych partiach, w których Dmochowski arbitralnie szkicował jego

portret. Skąd to wiemy? Otóż dopełnieniem *Zmagañ o Beksińskiego* jest, opracowana również w wydawnictwie Mawit Druk, korespondencja obu panów z lat 1999–2003. Z jednej strony mamy w owych listach wciąż tego samego Piotra Dmochowskiego, dobrze już znanego z książki. To nadal złośliwiec (według niego Beksiński oddaje „najlepsze obrazy do dziury za górnym Kłajem zwanej Sanokiem”), kipiący od emocji, kreujący się na galernika sztuki prawnik, który kosztem osobistych i zawodowych wyrzeczeń promuje wielkiego malarza, przy okazji próbując wylansować także własne nazwisko. Czuje jednak, że sukcesu w autoreklamie nie osiągnął i niewiele się w przyszłości zmieni. Dlatego też pewnego dnia, po dłuższym przeszukiwaniu Internetu, Dmochowski pisze z goryczą do Zdzisława: „Gdy kiedyś Twoja żona zapytała mnie, czemu staram się spopularyzować Twoją sztukę, odpowiedziałem, że mam nadzieję, iż dzięki temu za Twoimi plecami wślizgnę się do historii. Po przejrzaniu tych i innych *site* poświęconych Tobie widzę, że mi się ten numer nie uda: właściwie nikt nie wspomina, nawet mimochodem, mojego nazwiska i faktu, że się Tobą zajmowałem przez lata [...]”. Wygląda na to, jakby Dmochowski spodziewał się po pierwszym wydaniu książki jakiejś wrzawy, może nawet skandalu, zarazem licząc na idącą za tym choć odrobinę sławy, a potem... może choćby jakieś małe hasło w encyklopedii historii sztuki? Rozumie nawet wzburzenie rodziny Beksińskich po wypuszczeniu na rynek *Zmagañ*.... Może wręcz zakładał taką reakcję? W końcu świadomie ujawnił tu wiele intymnych informacji. Uważa jednak, iż, po pierwsze, „książka jest napisana dobrze” i to powinno stanowić wystarczający powód, by nie tylko Zdzisław się do niej przekonał; po wtóre zaś, na pewno „przeczytają to przyszłe pokolenia”, zatem autor wielkiej księgi oddał ludzkości nieocenioną przysługę. Chętnie powołuje się przy tym na nieliczne komplementy, jak choćby te autorstwa Dudy-Gracza, przyrównującego jego książkę do Biblii, „którą powinien przeczytać każdy student Akademii Sztuk Pięknych”. W jednym z listów Dmochowski podkreśla, iż zarówno ta książka, jak i pisane właśnie listy będą „podstawowymi źródłami wiedzy” o artyście z Sanoka. Z drugiej jednak strony mamy w tym tomie – nareszcie! – cięte riposty i brawurowe kontry Beksińskiego, który wcale nie marzy o wydaniu wspólnej korespondencji, bowiem nie pisze z myślą o jakimś „przyszłym czytelniku”. Natomiast wcześniejszą książkę swego francuskiego „promotora” z właściwym sobie dystansem i poczuciem humoru określa w jednym z listów „sprawozdaniem z obiadów Dmochowskiego”. W innym z kolei trafnie puentuje chorobliwą skrupulatność swego adresata: „Kochałeś spisywać, co się tylko dało, co jest raczej obce mej naturze [...]”. Zaś na ujawnienie w *Zmaganiach*... wielu intymnych szczegółów reaguje bardzo bezpośrednio: „A Ty, czyżbyś nie chciał mi dokopać w książce? Pisanie na jednej stronie, że Beks jest wstydlivy, a na kolejnych, że ma sraczkę nerwicową, lub że fiut nie chce mu stać [...], nie da się chyba wytłumaczyć czystym poszukiwaniem prawdy?”. Wypunktowuje też szereg przekłamań faktograficznych oraz Dmochowskiego zwyczaj

przyjmowania własnych domysłów za prawdę: „w wielu miejscach książki opisywałeś też moje odczucia, za każdym razem była to całkowita fikcja” – przypomina Zdzisław i konkluduje: „piszesz jakbyś uważał się za jasnowidza i znał moje myśli”. Stąd, nawiązując do powstających wówczas nowych technologii, nazywa on żartobliwie Dmochowskiego „prekursorem rzeczywistości wirtualnej”. W tej wymianie listów, niczym w tradycyjnym fechtunku, dochodzi raz po raz do ugodzeń i drobnych ran, bo partnerzy – trzeba przyznać – nie stosują uników. Różni ich jednak taktyka. Beksiński nie atakuje pierwszy, raczej odpiera napady i dopiero mocno sprowokowany przystępuje do kontrnatarcia. W zażartej dyskusji o roli i wartości sztuki, gdy przypomina mu się o powinnościach artysty, potrafi kąśliwie wygarnąć Dmochowskiemu: „Zapominasz o jednym, a mianowicie o tym, że Ty jesteś odbiorcą, a ja twórcą [...]”. W późniejszym liście pisze, nawiązując do mitu wykreowanego przez paryskiego prawnika – jakoby ten niegdyś odkrył był artystę znanego tylko „pod strzechami Sanoka”, wypromował go, a teraz jest tyleż zachwycony sztuką Zdzisława, co zniesmaczony jego „przyziemnością”: „Czymże jak nie ironią mam się bronić przed rodzącą się tezą o nikomu w Polsce nieznanym Beksińskim, którego – jak nieoszlifowany diament leżący w prowincjonalnym rynsztoku – znalazł przybysz z Wielkiego Świata, Piotr Dmochowski. Pochylił się, podniósł diament i zamyślił nad istotą Piękna, po czym postanowił oprawić ten diament i ukazać Światu, by ten mógł paść na kolana wielbiąc zarazem artystę i jego odkrywcę. Nieszczęściem, świat nie padł na kolana, bo [...] diament okazał się (już jako człowiek) moralnym gównem, niegodnym pochylania się, chociaż – jakby nie było – jest to gówno w jakimś tam swoim prowincjonalnym wymiarze wybitne”. W tym cytacie jest cały Beksiński, który organicznie nie znosi napuszenia innych, ale zarazem unika autokreacji, próbując pozostać sobą i „nie zastanawiać się, czy ma odpowiedni wyraz twarzy”. Artysta z zasady zachowuje do wszystkiego dystans („Bardzo lubię patrzeć. O wiele bardziej niż przejmować się”) i unika wszelkich klasyfikacji („Gdybym został zdefiniowany, [...] byłbym jak motyl przypięty szpilką w pudełku”). Dzięki temu wychodzi zwycięsko z całej serii utarczek słownych z adwersarzem – na tyle skutecznie, iż Dmochowski pisze w końcu, przywołując postać swej żony, która wieczorami czyta na głos po kilka stron tejże korespondencji: „Po lekturze Anna powiedziała: «Z tym Twoim zacietrzewionym tonem przegrasz. Beks pisze spokojnie. To jemu historia przyzna rację waszym sporze». [...] to stwierdzenie poderwało mnie z łóżka tak, aż siadłem. Tak więc z ofiary mam stać się zacietrzewionym kundelkiem, który obszczekuje swego pana?”. Podobnie jak wcześniej w autorskiej książce, Dmochowski chciałby uchodzić tu za konesera składającego z siebie ofiarę na ołtarzu sztuki, w imię Mistrza; tymczasem jest dokładnie odwrotnie – raczej to on gani Beksińskiego lub wmawia mu pewne poglądy, po czym zmusza do tłumaczenia się z nich. Ten proces osaczania trwa latami, niemalże od czasu zawarcia znajomości przez obu panów. Zdzisław da temu wyraz w jednym z

dłuższych listów, pisząc między innymi: „Początkowo planowałeś być tylko pośrednikiem! W miarę zmiany swej optyki i preferencji, zacząłeś postrzegać mnie jak utrzymanka, który smarowany jest miodem, i zamiast nieustannie doić forszę, winien odczuwać wdzięczność [...]. Ja natomiast czułem się obdzierany codziennie ze wszystkiego, co było dla mnie cenne, czyli: z wolności, niezależności, luzu psychicznego do pracy [...]. Moja pozycja handlowo-artystyczna we Francji jest nadal praktycznie żadna, natomiast z każdym dniem tracę pozycję, jaka przez lata wyrobiłem sobie w Polsce”. I podsumowuje: „grzęzną coraz bardziej”. Duża partia listów Zdzisława staje się, siłą rzeczy, taką nieustającą polemiką z nachalnością, urojonymi problemami i nieuzasadnionymi zarzutami Dmochowskiego. Parafrazując tytuł wcześniejszej książki, można by cały ten tom korespondencji nazwać „zmaganiem z Dmochowskim”. Szkoda. Szkoda, bo potyczki niepotrzebnie przesłaniają inne tematy, które od czasu do czasu podejmuje Beksiński: także te prywatne, ale jakże przejmujące! Z jego listów przebija na przykład dotkliwa samotność po śmierci najbliższych i znajomych („cztery dni bez jednego telefonu i bez jednego dzwonka do drzwi, bo moi przyjaciele już prawie wszyscy pomarli”). Artysta bez podniesłego tonu opisuje miłość i szacunek do żony Zofii oraz pragnienie „ocalenia od zapomnienia” syna Tomka, niemal przyznając się do wiary w „świętych obcowanie” („rozmawiam ze zmarłymi i czuję ich obecność”). Z niektórych listów wyłania się Beksiński nieasertywny („straszenie trudno przychodzi mi odmawianie”) i wciąż nadzwyczaj skromny („Nie lubię być zauważany. Dlatego, między innymi, uciekłem z Sanoka”). W innych – pojawia się autor refleksyjny, zadający sobie ważne pytania („nie mam wykształcenia filozoficznego”, ale czy „brak znajomości ma likwidować wrażliwość?”), uważnie obserwujący rzeczywistość za oknem, komentujący świat w mediach i formułujący trzeźwe wnioski (aż po ten wyprzedzający jego czasy: „przyszłość świata widzę w barwach fundamentalistycznych”). To właśnie owe bardzo szczerze, rzadko gdzie indziej pojawiające się wyznania Beksińskiego stanowią zasadniczy walor obszernego wyboru korespondencji. Walor, który – niestety – wciąż minimalizowany jest przez Dmochowskiego, żywo zainteresowanego raczej doraźnymi i niejednokrotnie miałkami tematami. Fakt: artysta wychodzi z tych pojedynków zwycięsko, nie siląc się na wyrafinowane, efekciarskie frazy jak jego korespondent, ale to Dmochowski wciąż próbuje grać pierwsze skrzypce w tym ansambli. A czasem nawet dyrygować całością. Cóż, nie bardzo to wychodzi; nie od dziś wiadomo, że nie można być jednocześnie twórcą i tworzywem. Ale to zmartwienie autora. Jeśli czegoś żał czytelnikowi, to raczej faktu, że do zaprezentowania własnej partii paryski solista potrzebował Zdzisława Beksińskiego. Po co, skoro i tak sadzał go ustawicznie we własnym cieniu albo nawet na widowni?

Tomasz Chomiszczak

Piotr Dmochowski, *Zmagania o Beksińskiego*
[z jęz. franc. przeł. aut.], Wydawnictwo MD
Warszawa 2016.

Beksiński – Dmochowski. Listy 1999–2003,
Wydawnictwo MD, Warszawa 2017.